

MARZYCIELE i POKUTNICY



KRZYSZTOF
SPADŁO

KRZYSZTOF

SPADŁO

**MARZYCIELE
I POKUTNICY**

© Copyright by Krzysztof Spadło & e-bookowo
Grafika i projekt okładki: Marek Purzycki
ISBN 978-83-7859-058-3

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl
Korekta: Paulina Lipiec
slowadaje@gmail.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie II 2012

Patronat medialny:



Lokalna24.pl



SECRETUM.PL



Twojakultura.pl

Moim dzieciom:

*Bartkowi, Kubie i Zosi,
abyście zawsze dążyli do realizacji swoich marzeń!*

Spis treści

Od Autora:	7
PRZEWOŹNIK	8
„Przewoźnik” fakty i mity:	51
PIĘTNO MORFEUSZA	54
„Piętno Morfeusza” fakty i mity	91
W IMIĘ TWOJE	94
„W imię Twoje” fakty i mity	177
CHŁOPIEC W CZAPECZCE Z DASZKIEM	180
„Chłopiec w czapeczce z daszkiem” fakty i mity	192
OCZY	193
„Oczy” fakty i mity	242
ABSOLUTNY HIT!	244
„Absolutny hit!” fakty i mity	271
MROCZNY ŁAŃCUCH	273
„Mroczny łańcuch” fakty i mity:	319
NIEPOKORNI	321
„Niepokorni” fakty i mity:	400
KOPACZE	402
„Kopacze” fakty i mity:	417
SZCZĘŚCIARZ	419
„Szczęściarz” fakty i mity:	429

Od Autora

Dziesięć opowiadań, które składają się na niniejszy zbiór, są jak rodzeństwo. Jedne przysły na świat tego samego roku, inne narodziły się po kilku latach, a wszystkie łączy wspólna, nierozzerwalna więź. Miło sobie wspominam te magiczne momenty, które pchnęły mnie do napisania każdej historii. Nawet teraz kreśląc te słowa uśmiecham się pod nosem, bowiem jakby nie było, włożyłem do tych opowieści jakąś część swojego życia.

W związku z koncepcją wydania „Marzycieli i Pokutników” w formie e-booka, nawiedził mnie pomysł, dzięki któremu mogę te chwile uwiecznić. Pod każdym opowiadaniem umieszczę kilka zdań o tym, co mnie zainspirowało, jaki miałem zamysł i co z danego tekstu bezpośrednio dotyczy mojej osoby.

To chyba tyle, nie ma co więcej wyjaśniać :-)

Zapraszam do lektury.

PRZEWOŹNIK

Dzisiejszy lipcowy poranek był zwiastunem upalnego dnia. Promienie wschodzącego słońca niczym prężne złote struny ostro rozcinały powietrze, a na turkusowo-błękitnym niebie nie sposób było dostrzec choćby cienia najmniejszej chmurki. Ognista kula z każdą minutą pięła się coraz wyżej ponad horyzontem i rozdając dookoła przyjemne ciepło, docierała swym wesołym blaskiem do najciemniejszych zakamarków, by ofiarować światu upragnioną radość życia.

Dachy domów, liście drzew, krzewy i połacie trawy, skąpane w porannej rosie, migotały tysiącami malutkich refleksów, sprawiając wrażenie minimalnego ruchu. Można było ulec złudzeniu, że ktoś w jakiś cudowny, wręcz czarodziejski sposób obsypał całą okolicę drobniotkim, błyszczącym brokatem.

Zalesione tereny położone na obrzeżach miasta spowijała delikatna mgła. Mleczne smugi unoszące się tuż nad powierzchnią ziemi wolno dryfowały, błędząc pomiędzy krzewami i konarami drzew, jakby chciały ukryć przed oczami wścibskich swoje tajemnice.

Strzelce Opolskie, pogrążone jeszcze we śnie, otulała wszechogarniająca cisza; jedyną oznaką życia był poranny śpiew ptaków. Chociaż czasami można też było usłyszeć, jak niewidzialne skrzydła unoszą w przestrzeń charakterystyczny stukot pędzącego gdzieś w oddali pociągu.

Tak jak co dzień kościelne dzwony odezwały się dokładnie o piątej trzydzieści, zwołując na poranną mszę, a ich donośny dźwięk rozbrzmiewał dostojnie nad całą okolicą. Ulice miasta

powoli zaczynały tętnić życiem. Ludzie podążający w różnych kierunkach spieszyli do swoich codziennych zajęć i obowiązków, a warkot jadących samochodów miarowo potęgował narastający pośpiech.

Tradycyjnie o 6 ciszę więziennych korytarzy rozszarpał ostry krzyk dzwonka, budząc skazańców ze snu.

Tutaj, w tym hermetycznym świecie, każdy dzień był jak kopia poprzedniego. Schemat wykuty przez żelazne regulaminy kreował monotonną rzeczywistość. Rzeczywistość tego świata.

Dochodziła 7.15.

Na więziennym parkingu sześć zielono-żółtych autobusów, będących własnością zakładu karnego, stało gotowych do odjazdu. W każdym z nich oprócz kierowcy znajdowało się sześciu uzbrojonych strażników i dwudziestu ośmiu skazańców odzianych w stalowoszare uniformy. Chwilę później okazałych rozmiarów brama wyjazdowa wykonana z litej stali, górą zawieszona, a dołem wpuszczona między szyny, otworzyła się głośnie zgrzytem. Hałas rozjeżdżających się na boki wrót spłoszył stado gołębi siedzących na pobliskim dachu. Przerażone ptactwo w panice poderwało się do lotu i, nerwowo trzepocząc skrzydłami, zatoczyło w przestworzach krąg i poszybowało w kierunku miasta.

Autobusy jeden za drugim wolno wyjeżdżały, opuszczając smutną twierdzę odkupienia, i płynnie wtopiły się w świat po drugiej stronie muru. Niektórzy z więźniów, niczym turyści biorący udział w egzotycznej wycieczce, pożerali oczyma zmieniający się w miarę jazdy krajobraz. Natomiast inni, mający dłuższy „staż” niż ich współtowarzysze, patrzyli spokojnym, beznamiętnym wzrokiem, na którego dnie czały się smutek i tęsknota za wolnością.

Kolumna pojazdów rozbiła się na kolejnym skrzyżowaniu. Cztery pierwsze pojechały prosto, a dwa pozostałe skręciły

w prawo i, zniknąwszy za zakrętem, pomknęły peryferiami Strzelec Opolskich. Zmierzając drogą w kierunku Krapkowic, po kilku minutach jazdy minęły tablice wytyczające granice miasta. Teraz asfaltowa wstęga szosy wiała się pośród malowniczych pól i lasów zatopionych w lipcowym porannym słońcu. Zostawiwszy w tyle niedużą wieś Kalinów, trzy kilometry dalej pojazdy skrzyły w leśną drogę. Sunąc wyboistym traktem prowadzącym w głąb lasu, wpadły w ramiona ciszy i przyjemnego chłodu. Tutaj dokładnie było widać, jak smugi słonecznego światła z trudem przebijają się przez korony drzew i znajdując gdzieś tam wolną przestrzeń, niczym sztylety zatapiały się w gęstym poszyciu. Przyroda jeszcze spała, trwając w bezruchu. Odgłos silników i smród spalin uderzył w ten naturalny spokój jak kamień w niezmaconą toń wody, a wszelka zwierzyna i leśne duszki umknęły spłoszone i pochowały się w zielonym gąszczu.

Po piętnastu minutach jazdy autobusy zatrzymały się na małej polanie tuż przed biegnącym wzdłuż nasypem kolejowym. Opony pojazdów schlapane rosą mieniły się czarnostalowym blaskiem.

Od kilku tygodni przewożono w to miejsce tanią więzienną siłę roboczą. Skazani wykonywali żmudną, monotonną pracę przy renowacji tutejszej linii kolejowej. Sama robota właściwie nie była ciężka, a poza tym przestrzeń, las, bezkresne niebo... oddychając pełną piersią, aż czuło się zapach upragnionej wolności.

Skazańcy powoli, bez pośpiechu, wychodzili na zewnątrz i ustawiali się w dwuszeregu przed samochodami. Najstarszy rangą strażnik wszedł na nasyp, stanął w rozkroku, spojrzął na zegarek, siarczyście splunął i rzekł donośnym głosem:

– Dobra twardziele, jest ósma. Koło południa zrobimy przerwę. Krótką, bo krótką, ale zrobimy, co mi tam. No, chyba

PIĘTNO MORFEUSZA

4 stycznia (sobota)

Aż strach pomyśleć, że zaczął się kolejny rok. Jeszcze brzmia mi w uszach odgłosy sylwestrowej zabawy. Dobrze, że przynajmniej raz na jakiś czas zdarzają się człowiekowi chwile, kiedy może o wszystkim zapomnieć. Jeszcze jutro króciutki dzień słodkiego lenistwa, a od poniedziałku – do roboty!

Mogę jedynie żywić nadzieję, że ten rok faktycznie będzie lepszy od poprzedniego i że w końcu coś się zmieni w moim szarym, monotonnym życiu. Właściwie gdybym miał odrobinę stanowczości i odwagi, to nie liczyłbym na uśmiech losu, tylko wziął sprawy w swoje ręce.

6 stycznia (poniedziałek)

Od lat jeżdżę tą samą linią autobusową do tej samej pracy i od lat co rano nucę w myślach słowa starego przeboju Janerki: „wstawać i pracować, i mieć nie bardzo mogę, nie bardzo chcę”. Z czystej ciekawości obserwowałem dzisiaj ludzkie twarze i niestety nie zauważyłem, żeby ktoś wyglądał na uszczęśliwionego. Posępne miny, nosy zaczerwienione od porannego mrozu i spuszczone na kwintę... Krótko mówiąc – rozpacz. I ja, kolejny puzzel idealnie pasujący do tej taniej układanki.

Kiedy pomyślę sobie, że jutro znowu stanę pomiędzy ladą i półkami regałów pełnymi samochodowych części, to aż mnie w dupie strzyka. Marnuję życie w tym kupieckim procederze, jeszcze gdyby ten sklep był mój... Albo żebym w ogóle miał jakiś własny interes, to może moje istnienie nabrałoby blasku. Oblędne. Wszystko zamyka się w mikrokole – praca, dom, sen, praca, dom, sen... I tak na okrągło.

Kiedyś miałem ambicje i chęci, ale od kilkunastu lat, od dnia, w którym połączyłem się węzłem małżeńskim, wszystkie plany przybladły, potem zaczęły się tlić, aż, summa summarum, bezpowrotnie zgasły. Nie jestem typem przebojowca, zawsze szedłem na łatwiznę i bałem się podjąć ryzyko. Cóż, chyba wierzyłem w zbyt wiele rzeczy, które okazały się złudne jak wiatr. Myślałem, że rodzina, wspólne pożycie, dzieci i tak dalej dają człowiekowi jakąś wielką satysfakcję, ale w rzeczywistości to gówno prawda. To po prostu kierat. Życie rodzinne jest przereklamowane.

Wpadłem w pułapkę, którą sam na siebie zastawiłem.

Doskonale wiem, że nie ma sytuacji bez wyjścia. Każdy problem ma swoje rozwiązanie. Na przykład taki Adam – rzucił wszystko w pizdu i zaczął od nowa. Toczy sobie chłopina zupełnie spokojne życie gdzieś daleko stąd i sądzę, że nigdy więcej nie popełni tego samego błędu. Czy dobrze zrobił? Nie mnie oceniać jego postępowanie. Zostawił żonę, dwójkę dorastających dzieci, duże mieszkanie, cały dorobek życia i wyrwał się stąd, dźwigając jedną torbę własnych ubrań i karmelkową świadomość beztroski. Chyba zazdrościsz mu odwagi.

10 stycznia (piątek)

Dzisiaj po pracy tradycyjnie udałem się na kufelek piwa. Moja małżonka nie lubi, kiedy wracam do domu i czuć ode

mnie odór chmielu. W gruncie rzeczy sram na to jej lubi czy nie lubi; już dawno przestało mi zależeć na dogadaniu jej. Mam przecież, do ciężkiej cholery, trzydzieści dziewięć lat i nikt nie będzie mnie wodził za nos jak jakiegoś smarkacza. Skoro mam na coś ochotę, to będę to robił i koniec, kropka. Najgorsze jednak jest to, że ona robi z tego wielką aferę. Wdaje się później w bezsensowną gadkę, sprawia wrażenie, jakby jej cały świat legł w gruzach. Czasami zastanawiam się, czy inni faceci mają podobne problemy, czy tylko ja grzęznę w takim szambie. Człowiek dziesięć godzin poświęca na pracę, stara się, żeby zarobić tych parę groszy, i jeszcze nie może z tego skorzystać!?! Zrozumiałbym, gdyby było tak, że wracam na totalnej bani, zachowuję się jak brutal, rozstawiam wszystkich i wszystko po kątach, ale wypilem jedynie dwa piwa! Nigdy nie posunąłem się do czegoś takiego, lecz chyba powinienem systematycznie, raz na jakiś czas, przyłożyć jej w tytę. Może wtedy zachowywałaby się jak na kobietę przystało.

15 stycznia (środa)

Już nie pamiętam, kto wymyślił to zajebiste przewisko dla naszego szefa, lecz Thusty pasuje do niego jak pięść do oka. Koleś ma niecałe sześćdziesiąt kilogramów wagi i w ogóle wygląda jak żywcem zdjęty z kaszanki. Jest tak drobny i suchy, że gdybym nawet ja (któremu daleko do Sylwestra S. czy Arnolda S.) dobrze pocelował i raz go pierdołnął, to chyba bym go zabił.

Pewnie któregoś dnia to zrobię, kiedy już przestanie mi zależeć na czymkolwiek.

Dzisiaj Thusty przegiął pałę. Wszystko wszystkim, wiem, że jest moim szefem i że to on mi płaci, a nie odwrotnie, ale są pewne granice. Maksymalnie podniósł mi ciśnienie. Gamoń

W IMIĘ TWOJE

W pierwotnych planach Stefana Bremela przybudówka domu miała służyć jako garaż, ale trzynaście lat temu, dokładnie rok po jej wybudowaniu, zdarzyła się tragedia. Właściwie to może i lepiej, że tak się stało? Marianna Bremel chorowała od wielu, wielu lat, życie nie szczędziło jej udręk i zamiast radości ofiarowało cierpienie. W końcu oboje wiedzieli, że prędzej czy później to musi się stać. Złośliwy nowotwór wolno zżerał od wewnątrz ciało pani Bremel, która prawdopodobnie co wieczór gorliwie modliła się w myślach do Boga, by bezboleśnie zabrał do siebie jej duszę. Śmierć przyszła nagle pewnej październikowej nocy. Zakradła się do ich domu jak złodziej i porwała w swe ramiona pięćdziesięcioletnią towarzyszkę życia Stefana. Od tamtej pory wszystko straciło sens, a już na pewno straciło go urządzenie garażu.

To dziwne, ale człowiek nawet się nie zastanawia, jak dużo kosztuje świadome poświęcenie się pracy. Bremel dostrzegł to, kiedy było za późno. Ile razy jego świętej pamięci małżonka czekała na niego z ciepłym obiadem, a on, nie bacząc na to, zajmował się swoimi turbinami i całym tym chłaniem w elektrowni? Ile było w jego życiu niewykorzystanych urlopów, przepracowanych weekendów? Jak wiele wolnych popołudni przesiedział wpatrzony w zapisane kartki papieru, starając się rozgryźć jakiś problem, który zupełnie nie dotyczył jego życia

osobistego? Tak dużo im umknęło kosztem jego pracy? Pracy, która była również jego pasją i dawała mu spełnienie.

Pierwszych kilka lat po jej śmierci było naprawdę trudnych. Nie umiał sobie poradzić z samotnością, nie potrafił o siebie zadbać, źle się odżywił i pracował ponad własne siły. Właściwie nic go nie interesowało oprócz pracy i paru godzin snu. To wszystko, czego potrzebował.

Jego zdrowie zaczęło poważnie szwankować, problemy pojawiły się wraz z nastaniem wieku emerytalnego. Wiedział, że to oznacza definitywny koniec jego kariery zawodowej, koniec pracy. Emerytura była jak niewidzialny cierń wbity prosto w schorowane serce.

Niby zasłużony odpoczynek, nagroda za poświęcone lata, a w gruncie rzeczy – olbrzymia pustka. Nie rozumiał, jak można beczynnienie siedzieć i czekać na nie wiadomo co. Właśnie wtedy przybudówkę, która miała być garażem, zaadaptował na swoją pracownię. Na razie sam nie wiedział, czym się zajmie, ale musiał coś robić. Obojętnie co. Kiedy wszystkie dni są przerażająco szare, a każdy poranek i zmierzch ma smak cierpkiej goryczy, człowiek musi coś robić, żeby nie zwariować.

*

Po kilku tygodniach emerytalnego zastoju podjął wreszcie decyzję. Najpierw pomysł wydał mu się kompletnie szalony, ale z drugiej strony praktycznie nie miał nic do stracenia. Nic oprócz czasu i pieniędzy. Zresztą, co do gotówki, to i tak nie potrafił jej sensownie spożytkować, gdyż jego potrzeby były wręcz minimalne. Poza tym uznał, że kontynuowanie badań, które w trakcie pracy zawodowej pozostawały w strefie czczych dyskusji i pustej, laboratoryjnej gadaniny, mogą stanowić nieźle zajęcie dla takiego starego maniaka jak on. Cóż, zgadza się,

CHŁOPIEC W CZAPECZCE Z DASZKIEM

Dziś jest piątek. Ta okropność wydarzyła się w środę, a ja do tej pory nie potrafię opanować drżenia dłoni. Ostatniej nocy nawiedziły mnie koszmary. Obłądana sytuacja, coś takiego przytrafiło mi się po raz pierwszy w moim czterdziestotrzyletnim życiu. Nie umiem sobie tego wytłumaczyć, gdybym opowiedział żonie o tym, co mnie spotkało, spojrzalaby z niedowierzaniem i wściekle stwierdziła, że albo chcę ją przerazić, albo biorę jakieś świństwo i zaczynam wariować.

Nikomu o tym nie powiem.

Nigdy.

Chcę tylko jednego – zapomnieć o chłopcu w czapeczce z daszkiem.

Było późne środowe popołudnie. Październikowe słońce chyliło się ku zachodowi, na niebie malowała się krwista poświata i jak zwykle o tej porze w centrum miasta pęczniał komunikacyjny korek.

Nie jestem nerwowym człowiekiem, trudno mnie wyprowadzić z równowagi, ale są takie sytuacje, że zupełnie bezpodstawnie zaczynam dostawać wewnętrzny szał. Jedną z nich jest właśnie jazda samochodem przez zatłoczone ulice. Kiedy brnę uwięziony w łańcuchu pojazdów, które mozolnie suną do przodu, poruszając się zależnie od cyklu zmiany świateł, zaczynam się wściekać.

Tak właśnie było w środę.

Wiem, że niczego nie zmieni moje niecierpliwe stukanie palcami po kierownicy, że na nic zerkanie w przód i zastanawianie się: „Czemu, do diabła, oni nie jadą?!”, że te wszystkie przekleństwa wypowiedane półgłosem nie będą działały jak magiczne zaklęcie, które sprawi, iż pomkniemy pędem na wprost.

Swoje trzeba odstać.

Tak więc tkwiłem w tej koszarnej kolejce, z głośników sączyła się jakaś muzyka, a moje myśli szusowały. Starąłem się skoncentrować nad czymś bardziej wzniosłym i zapomnieć, że poruszam się w tempie żałobnego konduktu. Zachodzące słońce odbijało się we wstecznych lusterkach, momentami, kiedy odchylałem głowę za bardzo w lewo, refleksy światła paliły moje źrenice purpurowym żarem.

Wodziłem wzrokiem po tych wszystkich smutnych budynkach, po pozbawionych charakteru szyldach reklamowych, po zmęczonych twarzach mijających mnie na chodniku. Niektórzy ludzie sprawiali wrażenie, jakby tylko ich ciała zostały tutaj, w tym przygnębiającym świetle. Przypominali poruszające się skorupy, manekiny pozbawione świadomości i opuszczone przez dusze.

Lubię obserwować ludzi, niekiedy można dostrzec wiele zastanawiających rzeczy.

Zielony golf stojący tuż przede mną wolno potoczył się do przodu. Natychmiast wrzuciłem pierwszy bieg i ruszyłem za nim. Nie wiem, ile mogliśmy przejechać – dwadzieścia metrów? Nie więcej.

Dobre i tyle.

Krótkimi skokami przesuwaliliśmy się do przodu.

Po jakimś czasie jazda nabrała sensownej prędkości. Mniej postojów, więcej ruchu. Światła przed wiaduktem miałem już w zasięgu wzroku. Było dobrze.

Czerwone cyferki elektronicznego zegarka ulokowanego w desce rozdzielczej pokazywały 17:53.

O 17.58 było już idealnie. Przejście dla pieszych, światła ponad jezdnią i tylko kilka samochodów przede mną.

Rewelacja!

Przyjemne uczucie, kiedy człowiekowi powraca dobry humor.

Spojrzałem w lewo. Musiałem tam zerknąć, bowiem wzrok przykuwało agresywne zielone światło dużej reklamy w kształcie okularów ulokowanej dokładnie na rogu budynku, w którym mieścił się zakład optyczny.

„Niech się wreszcie ta kolejka ruszy. Najwyższy czas!”

Skierowałem wzrok w prawą stronę. Chodnikiem szedł chłopiec. Miał na sobie ciemne dżinsy, fioletowy polar zapinany pod szyję oraz bejsbolową czapkę z daszkiem nasuniętą prawie na oczy. Nie mógł mieć więcej niż jedenaście lat. Drobny, chudy, zgarbiony i skulony, jakby było mu zimno. Ręce wciśnięte w kieszenie, no i ta charakterystyczna czapka. Wiśniowa z jakimś czarnym emblematem pośrodku. Chyba nieco za duża. Przynajmniej takie sprawiała wrażenie.

Ten młody człowiek na krótki moment przyciągnął moją uwagę.

Zaintrygował mnie.

Wiem nawet czemu. Nie w tym rzecz, jak był ubrany, zresztą w jego stroju nie było nic szczególnego, nosił się jak milion dzieciaków w jego wieku. Zastanowił mnie, bo mam syna, który mógłby być jego rówieśnikiem. Przez chwilę myślałem nad tym, czy taki młokos powinien sam wałęsać się po mieście. Może i jestem przewrażliwiony, ale wydaje mi się, że jedena-

OCZY

Oczy ma się tylko jedno –
powiedzenie znane wszem i wobec.

Kiepska sprawa z moimi oczami zaczęła się jakieś cztery lata temu. Ni stąd, ni zowąd zrobiło mi się jakieś podskórne świństwo na prawej górnej powiece. Pojawiła się lekka opuchlizna. Dotykając jej, wyczuwałem pod opuszką palca nieznaczny guzek. W sumie wcale mi to nie przeszkadzało, nie drażniło mnie, nie bolało... krótko mówiąc, działało się wszystko, co pozwoliło mi zlekceważyć sprawę. Dziś już nie pamiętam, jak długo żyłem z tym defektem, ale bite pół roku na pewno!

W tamtym okresie miałem nawet ubaw z tego obrzęku. Najpierw nie przywiązywałem do tego wagi, jednak z czasem zauważyłem, że moi rozmówcy w pewnym momencie zwracają uwagę na moją nabrzmiałą powiekę i zadają wciąż to samo pytanie:

– Co ci się stało w oko?

Zacząłem nawet łapać się na tym, że rozmawiając z kimś, tylko czekałem na takie słowa. Szkoda, że nie mierzyłem czasu, po jakim padało to pytanie, przynajmniej wiedziałbym, czyja ciekawość był największa.

Całkiem możliwe, że do dziś miałbym to coś na patrzyłce, ale pojawiły się inne objawy. Z dnia na dzień to COŚ zaczynało dawać o sobie znać. Budziłem się rano i miałem problem z

otwarcie powieki, moje rzęsy na całej długości były zlepione trochę zaschniętą, trochę oleiście ciągnącą się masą w kolorze zgniętej żółci. To też trwało jakiś czas, aż w końcu zdecydowałem, że najwyższa pora odwiedzić okulistę. Nie znoszę chodzić do przychodni. Traktuję to jako karę. Na dodatek obowiązują tak dupne procedury, że szkoda słów. Najpierw idziesz do ogólnego. Zarejestrować się, sterczeć kolejce i stracić pół dnia, by uzyskać skierowanie do specjalisty. Potem kolejna szopka. Rejestrujesz się i słyszysz, że najbliższy termin to na przykład czwartek w przyszłym tygodniu, godzina 11.30. Cóż, trudno. Nie pozostaje nic innego, jak się dostosować.

Nadszedł mój czas. Pani doktor dotknęła tego CZEGOŚ, obejrzała je, zapytała, jak długo z tym chodzę, pokiwała z politowaniem głową i wypisała mi skierowanie na zabieg. Potem uraczyła mnie lekko niesmacznym wywodem o lekceważeniu własnego zdrowia i podsumowała go znaną prawdą: oczy ma się tylko jedno. Przy okazji oczywiście zbadła mi wzrok. No i właśnie wtedy okazało się, że chyba powinienem nosić okulary. Wypisała mi receptę. Nie powiem, trochę się przejąłem.

Temat okularów zepchnąłem na dolną półkę – najpierw zabieg.

Udałem się do szpitala na oddział okulistyczny. Lekarz o posturze i wyglądzie rzeźnika zerknął na skierowanie.

– Ha! No i mamy „złotą rybkę” – wydawał się być rozbawiony. – Proszę poczekać w holu. Za kwadrans ją usuniemy.

Usiadłem pod ścianą, założyłem nogę na nogę i zastanawiałem się, cóż, do cholery, znaczy określenie „złota rybka”.

Posadzili mnie na dużym fotelu. Oparcie zjechało na tyle, że znalazłem się niemalże w pozycji leżącej. Troje ludzi krzątało się przy mnie. Położono mi coś pod brodą, dostawiono jakiś foliowy parawan, który niczym kurtyna opadł na mojej szyi.

Nagle zapalił się oślepiający rząd jaskrawych lamp. Ich blask zmusił mnie do zmruczenia oczu. Usłyszałem kobiecy głos:

– Zaraz podamy panu znieczulenie miejscowe. Wywinę górną powiekę, dolną ściągnę w dół i przytrzymam, a pan niech się postara nie mrugać. Przez chwilę będzie szczypało.

Zrobiła to, o czym mnie uprzedziła, a potem poczułem bolesne ukłucie. Nie, to nie był zastrzyk, niemalże w tej samej chwili rozległ się charakterystyczny syk, taki sam, jaki wydaje rozpylany dezodorant. Kątem drugiego oka zobaczyłem dłoń odzianą w chirurgiczną rękawicę, a w niej szklaną fiolkę. Momentalnie poczułem, jak przez moją gałkę oczną przepływa fala ostrego mrowienia i łagodnie zahacza o policzek, skroń i łuk brwiowy. Niespełna minutę później ogarnęło mnie wrażenie, że nie posiadam tego fragmentu twarzy, zupełnie jakby to miejsce zamieniło się w sztuczną skorupę. Leżałem bez ruchu, oślepiony strumieniami światła bijącymi z lamp. Jedyne, co mogłem zrobić, to nasłuchiwać.

Doszedłem do wniosku, że w pomieszczeniu oprócz mnie jest lekarz, siostra i chyba jakiś młody, początkujący daktorek. Na pewno początkujący, bo ich rozmowa spychała moją schorowaną powiekę do rangi elementu pokazowego.

– O, widzisz tutaj? Podręcznikowy przykład – to był głos człowieka, który wcześniej przyjął moje skierowanie na zabieg. – Centralne stwardnienie i widoczne rozlanie po bokach. Wyсіk gromadzi się w kopolce, jego nadmiar wciska się podskórnice i promieniście rozprzestrzenia. To wypukłe ziarenko nazywają właśnie „złotą rybką”. Naszym zadaniem jest wyskrobać ten klejnocik, odsączyć źródelko, odkazić ranę, a resztę załatwi już sam organizm. To tyle. Siostro, narzędzia.

„Narzędzia!” – panika krzyknęła w moich myślach. W każdym szpitalu świata to słowo brzmi paskudnie. Usłyszałem, jak

ABSOLUTNY HIT!

Rozległy kompleks podłużnych parterowych budynków na peryferiach miasta był otoczony idealnie przyciętymi arkuszami falistej blachy; tylko w miejscach łączeń widać było, jak polyskują półokrągłe główki niklowanych nitów. Samo ogrodzenie pomalowano matową niebieską farbą. Wzdłuż niego biegł rząd strzelistych lamp, które każdego wieczoru płonęły jasno-żółtym światłem.

Dochodziło południe. Kwietniowe słońce śmiało się jaskrawym blaskiem na nieskazitelnie błękitnym niebie. W powietrzu unosił się zapach cudownej świeżości. Trawa, krzewy i drzewa buchały kaskadami rozkosznej zieleni. Wiosenny przebój trwał.

Asfaltową wstęgą szosy biegnącą z północnego kierunku sunął czarny citroen C5. Samochód zatrzymał się na parkingu przed niebieskim ogrodzeniem. Po chwili trzech mężczyzn ubranych w dobrze skrojone garnitury ruszyło w kierunku szerokiego wejścia. Reprezentowali oni największą w Polsce sieć hipermarketów. To na ich barkach spoczywało zadanie polegające na znalezieniu odpowiedniego partnera handlowego i zawarciu z nim korzystnej umowy o współpracę. To oni z ramienia firmy, dla której pracowali, prowadzili Duże Interesy, które rodziły Duże Pieniądze.

Mężczyźni mieli okazję już jakiś czas temu poznać właściciela firmy, ale ich dotychczasowe spotkania odbywały się w zacisznych prawniczych gabinetach. Umowa handlowa została podpisana kilka tygodni temu, pierwsze transporty dotarły do siedmiu najbardziej strategicznych punktów sprzedaży, akcja promocyjna była w toku, a towar sprzedawał się na przysłowiowym pniu. Dzisiejsza wizyta miała charakter czysto formalny, wręcz kurtuazyjny. Po prostu tak wypadalo, takie postępowanie było kolejnym ziarnem, które być może wyda plon, jeśli w przyszłości dojdzie do kolejnych negocjacji. A w związku z tym, że popyt na asortyment przekroczył najśmielsze oczekiwania, na horyzoncie interesów pojawiała się takowa wyraźna perspektywa. Panowie w garniturach byli wybitnymi fachowcami w swoim rzemiośle. Charakteryzował ich krystaliczny profesjonalizm. Tworzyli zespół nie do pobicia. Ich dzisiejsze odwiedziny miały na celu uzyskanie właściwie jednej informacji, oczekiwali odpowiedzi na jedno lub dwa pytania – czy mogą liczyć na zwiększenie dostaw, a jeśli tak, to jak poważne, szacując procentowo do obecnych.

Rozmowa z właścicielem firmy miała luźny i przyjacielski charakter. Goście wypili po filiżance kawy, ten, który prowadził, odmówił, ale pozostali wzniesli toast lampką przedniego koniaku. W sumie nie byli zainteresowani, jak tutaj przebiega produkcja, jednak sytuacja wymagała, żeby rzucić okiem na wygląd zakładu i wysłuchać kilku słów.

Musieli przyznać, że firma, która spoczywała w rękach jednego człowieka, była ogromna. Wolnym krokiem szli pomiędzy rzędami budynków.

Na dworze było tak ciepło, że zdjęli marynarki.

– Cały proces rozpoczyna się w tym miejscu – powiedział starszy szpakowaty mężczyzna, wskazując na budynek z tablicą INKUBATORNIA. – Pokróćce wyjaśnię. Otóż tam znajduje się

MRO CZNY ŁAŃCUCH

*Tkwię w szarej niemocy i nie mam złudzeń,
nie mam radości i nie mam spokoju.
Tkwię w szarej niemocy własnego istnienia
i nie wiem, co lepsze: śnić czy umierać?*

W ciemnościach lasu można było dostrzec, jak gdzieniegdzie czają się połyskujące, dzikie ślepie. Czujne i ostrożne, obserwujące z zaciekawieniem to, co dzieje się na dużej polanie, a jednocześnie gotowe do natychmiastowej ucieczki.

Nieprzenikniona czerń nieba była podziurawiona tysiącami migających gwiazd. Ponad gęstwiną lasu wisiała srebrna tarcza księżycy, spoglądając na świat jaskrawym blaskiem.

Na polanie płonęło dwanaście ognisk ułożonych w niemalże idealny krąg. Żółte języki ognia skwierczały w swoim gorącym tańcu, trawiąc rozżarzone do czerwoności drwa. Pośrodku ognistego kręgu stał wysoki i dumny wizerunek Światowida. U jego stóp, ale w bezpiecznej odległości, były cztery prostokątne stosy, misternie ułożone z grubych, suchych bali. Cztery stosy, po jednym przed każdą z czterech twarzy czczonego bóstwa.

Dookoła ognistego kręgu stali ludzie odziani w prymitywne stroje. Dzieci, kobiety, młodzieńcy, dziewczęta, mężczyźni, starcy... Wszyscy jak jeden mąż wpatrywali się niemalże zahipnotyzowanym wzrokiem w miejsce swojego kultu. Poświęta

bijącego ognia skakała po ich twarzach, pędząc na nich ruchome cienie. Wiatr delikatnie szumiał w koronach drzew. Nagle w tę nocną ciszę wdarły się rytmiczne uderzenia. Bum-bum, bum-bum, bum-bum... Natychmiast dało się usłyszeć, jak w pobliskiej gęstwinie w różnych miejscach rozlega się pełen paniki galop. Spłoszona zwierzyna uciekała czym prędzej. Odgłos docierał z północnego kierunku i zbliżał się złowieszczo. Dudnił w rytmie uderzeń serca, spokojnie i równomiernie, dyktował tempo i wprowadzał w trans. Po chwili stojący ludzie ruszali głowami w jego rytmie i każdy wydawał z siebie gardłowy pomruk.

W ciemnościach ukazało się pięć postaci. Dwie z przodu niosły płonące pochodnie, dwie z tyłu miały przewieszane przez szyję tuby podtrzymywane lewymi rękoma, a w prawych dzierżyły ociosane pałki, którymi w nie uderzały. Postać pośrodku miała długie śnieżnobiałe włosy zasłaniające twarz, opadające na ramiona i sięgające łokci. W wyciągniętych dłoniach trzymała okrągły kociołek. Orszak zbliżał się wolnym krokiem. Na jego widok zgromadzony tłum rozstał się nieznacznie, tworząc przejście. Pięcioosobowa świta minęła ognisty krąg i zatrzymała się. Postać, która trzymała naczynie, uniosła je na wysokość swojej twarzy, mamrotała coś, szybko poruszając ustami, po czym wyprostowała i uniosła przedmiot ponad głowę. Na ten gest tłum odpowiedział długim, wściekłym okrzykiem.

Dwóch roślących mężczyzn ciągnęło za sobą prowizoryczne nosze, na których leżał człowiek. Jego blada twarz była jeszcze świadoma, ale malował się na niej oddech śmierci. Jeszcze dzień, może dwa. I tak długo zmagał się z nieuniknionym, ale doczekał się. Doczekał się chwili, kiedy księżyc zapłonął w pełni. Mężczyźni ułożyli jego ciało na jednym z czterech stosów. Tutaj w świetle ognia było widać, że jego odzienie na wysokości

brzucha jest przesiąknięte zastygłą krwią. Jeszcze żył, oddychał, a kiedy zrozumiał, że leży u stóp swojego Boga, w jego oczach pojawiła się radość.

Z tłumu ruszyły trzy inne osoby. Mężczyzna i kobieta prowadzili, podtrzymując pod ramiona, zgarbioną staruszkę. Pomogli jej się położyć.

Do serca kręgu ruszył z prawej strony kilkuletni dzieciak. Zarzucał prawym biodrem, powłóczęc sztywną nogą. Jedna z kobiet patrzyła na niego oczami pełnymi łez, a mężczyzna stojący tuż za nią złapał ją mocno palcami za bark. Mięśnie jego twarzy nerwowo pulsowały, napinały żuchwę. Kulejący chłopczyk obejrzał się przez ramię i posłał im spojrzenie pełne niewinnego uśmiechu. Podszedł do kolejnego stosu i położył się na nim na wznak.

Ostatnie miejsce było dla starca. Stał jeszcze wraz ze wszystkimi, którzy otaczali krąg. Zrobił krok. Mężczyzna obok chciał mu pomóc i chwycił go za przedramię. Starzec zatrzymał się, spojrzał na niego groźnie, trzepnął ręką na znak, że nie życzy sobie tego i z dumnie uniesioną głową ruszył przed siebie.

Kiedy cała czwórka leżała na drewnianych stosach, rozpoczęto rytuał. Postać z kociołkiem stała w miejscu, natomiast osoby, które z nią tutaj przybyły, ustawiły się każda przed inną twarzą Światowida. Obróciły się plecami do posągu, zrobiły kilka kroków w przód, wykonały skręt w prawo i, uderzając rytmicznie w tuby, zaczęły w ich takt zataczać krąg. Tłum stojący poza ogniskami ruszył w tym samym tempie, ale w przeciwnym kierunku. Każdy z obecnych wydawał z siebie przeciągłe pomruki.

Długowłosa osobistość podchodziła do leżących, czerpała małą miseczką wywar z kotła i podawała im do ust. Jednocześnie pochylała się nad nimi i coś szeptała. Teraz leżący mogli

NIEPOKORNI

– Pociąg pośpieszny z Kudowy do Krakowa, planowy przyjazd dwudziesta dwadzieścia, przybędzie z opóźnieniem około trzydziestu minut – nosowy kobiecy głos pozbawiony wszelkich emocji rozległ się w dworcowych megafonach. Zabrzmiał tak samo jak na każdej stacji kolejowej.

Kilka zmarzniętych osób stojących na prudnickim peronie z ubolewaniem podreptało w kierunku poczekalni. Jakiś mężczyzna siarczyście zaklął. A niby czegoż innego mogli się spodziewać? Pierwszego listopada wszystkie środki komunikacji funkcjonują z solidnym poślizgiem. Nie dość, że raz do roku wypada święto zmarłych, nie dość, że tego dnia całe rzesze ludzi przemierzają Polskę jak długa i szeroka, żeby oddać cześć bliskim, którzy odeszli, to na dodatek PKP serwuje im niespodziankę spóźnień.

W ciągu dnia pogoda nie była jeszcze najgorsza. Fakt, wiało – i to potwornie, ale świeciło listopadowe słońce i nic nie wskazywało, że koło osiemnastej zacznie prószyć drobny śnieg. Parabola aury potrafi jednak płatać figle. Zupełnie nieprzygotowana na tę okoliczność atmosfera pozwalała śnieżnym płatkom opadać na ziemię, ale przy zetknięciu z glebą momentalnie zamieniała je w kropelki wody. W niecałe pół godziny krajobraz okrył się szatą wilgotnej melancholii. Właściwie trudno sobie wyobrazić, żeby dzisiejszy dzień wyglądał inaczej. Musi

być smutno, szaro i smutno, żeby podkreślić duchowy klimat żalem i zadumą.

Ciemny zmierzch wspaniale uwydatniał purpurową lunę unoszącą się ponad cmentarzem. Od strony dworca doskonale było widać poświatę tysięcy zniczy i czuć wzbijające się w niebo kłęby parafinowego dymu. Chociaż... może to nie był tylko dym? Towarzyszyła mu gęstnąca z każdą chwilą mgła.

– Pociąg pośpieszny z Kudowy do Krakowa, planowany przyjazd dwudziesta dwadzieścia, przybędzie z opóźnieniem około czterdziestu pięciu minut. Podróżnych przepraszamy i informujemy, że wielkość opóźnienia może ulec zmianie – kobieta z klamerką na nozdrzach, ukryta gdzieś w murach budynku, ponownie przekazała pasażerom złą wiadomość. Kilka osób podniosło się z miejsc i ruszyło w kierunku wyjścia, wyjmując z kieszeni i podręcznych toreb paczki papierosów.

Mgła gęstniała z minuty na minutę. Noc i biała kurtyna pozabawiały świat kolorów, a dworzec powoli zaczynał przypominać zakątek zapomniany przez ludzkość i Boga.

Dla tych, którzy korzystają z linii kolejowych, żeby się nimi tylko przemieszczać, dźwięk hamujących kół niezapowiedzianego pociągu jest jedynie odgłosem, na który nie zwraca się najmniejszej uwagi. Jednak dla pełniących służbę, dla dyżurnego ruchu i obsady stacji coś takiego czymś prawdziwie zadziwiającym.

– Co, do jasnej cholery?! – powiedział mężczyzna w średnim wieku ubrany w mundur kolejarza i poderwał się z krzesła. Wyjrzał na peron ze służbowego pomieszczenia.

– Zapowiadali coś? – zapytał zdziwiony, stojąc w drzwiach. Dwie kobiety siedzące wewnątrz spojrzały na siebie i w milczeniu wzruszyły ramionami.

– Nic nie widać – ciągnął, nie zwracając uwagi na brak odpowiedzi na wcześniej zadane pytanie. – Wy też słyszałyście to co ja? Baśka, połącz się z Nysą, może coś im się pokiełbaśilo?

Wyszedł na zewnątrz. Wolnym krokiem ruszył wzdłuż peronu. Wprawdzie wyteżał wzrok, ale w takiej mgłę nie sposób było czegokolwiek dostrzec, nawet światła dworcowych latarni z trudem przebijały się przez matową kurtynę. Wszystko było tym dziwniejsze, iż miał wrażenie, że słyszy ciężkie sapanie parowozu, lecz nie potrafił stwierdzić, z którego kierunku dobiega znajomy odgłos.

– I co powiedzieli? – zapytał, stając w drzwiach.

– Nic nie jechało.

– A Nowy Świątów?

– Tak samo.

– Chodź ze mną na peron – kiwnął głową w stronę kobiety.

– Słyszysz?

– Niby co?

– Parowóz. Posłuchaj uważnie...

Uniosła do góry brwi i odparła po krótkiej chwili:

– Zimno. Nic nie słyszę.

Kolejarz spojrzał jej w oczy i machnął ręką, jakby chciał tym gestem zapytać, czy aby na pewno wie, że żyje. Oboje wrócili do dyżurki.

Płuca lokomotywy dyszały, wypluwając z gardzieli kłęby dymu. Za żelaznym koniem stały trzy drewniane wagony z pootwieranymi drzwiami, a wewnątrz siedzieli jacyś ludzie. Faktycznie, odgłos maszyny był jakby nieobecny. W ogóle ten minitor wyglądał bardzo podejrzanie, zważywszy jeszcze na to, że stał na torze, który praktycznie od lat był nieużywany i w rzeczywistości prowadził donikąd. Szyny pokryte grubą warstwą rdzy, ziemia pomiędzy podkładami zarośnięta chaszczami, których gnijące ramiona oplatały zmurszałe drewno.

KOPACZE

Kicha i Ptaku byli prawdziwymi przyjaciółmi. Przyjaciółmi przez duże P. Może sami nawet nie zdawali sobie z tego sprawy, ale każdy, kto obserwował ich z boku, nie mógł mieć co do tego żadnych wątpliwości. Ta niewidzialna, zmysłowa i uduchowiona więź, która ich łączyła, była potężna. Prawdopodobnie na ich zażyłość miał również wpływ fakt, że obaj byli jedy-nakami.

Łączyło ich też coś innego – obaj urodzili się tego samego roku w tym samym szpitalu, ich rodzice byli dobrymi znajomymi i sąsiadami. Mieszkali w tym samym bloku na tym samym szarym osiedlu, w równie nudnej i ospalej mieścinie. Jako niemowlęta Kicha i Ptaku trafili do tego samego żłobka, potem do przedszkola, szkoła podstawowa – ta sama klasa, od zawsze wspólna ławka i wreszcie szkoła średnia – powtórka z rozrywki: ta sama klasa i ławka. Wszystko się powielalo na olbrzymim bębnie kolosalnej kserokopiarki życia. Nawet pasje.

Od najmłodszych lat chłopcy mieli wspólne hobby – kopanie w piachu. W wieku dziecięcym działali w piaskownicy na podblokowym placu zabaw. Łopatki i piasek. Mamuśki siedziały na ławce w cieniu klonu i plotkowały o bzdurach, a maluchy drażyły. Brudne, umorusane, piach pod paznokciami, piach we włosach, ale ileż było radości, kiedy przypadkiem natrafiały na stary, zardzewiały kapsel z butelki po piwie! W pierwszych latach szkoły podstawowej Kicha i Ptaku też kopali, ale już nieco

inaczej (lecz zawsze razem). Po drugiej stronie ulicy budowano nowy blok, gniazdka dla rodzin, które miały powstać w bliżej nieokreślonej przyszłości. Popołudniami, kiedy pracownicy opuścili już teren budowy, zlatywali się tam prawie wszyscy chłopcy z osiedla – niczym żarłoczna szarańcza na kukurydziane pole. Toczyli wielkie bitwy, bawili się w chowanego, berka, co bardziej znudzeni wymyślali, co by tu zmajstrować, żeby uprzykrzyć życie robotnikom. Kiedyś przyjechała koparka i w ciągu dnia powstał olbrzymi rów, w którym miała biec sieć kanalizacyjna. Jakież było zdziwienie budowniczych, gdy następnego dnia okazało się, że wykop jest idealnie zasypany. Majster ponoć z taką wściekłością cisnął swoim kaskiem o ziemię, że ten aż pękł na pół. Potem ktoś ze spółdzielni wpadł na pomysł, iż warto dzieciakom postawić na placu zabaw metalową karuzelę. Liczono na to, że wtedy dadzą sobie spokój z łażeniem po niebezpiecznej budowie. Przyjechała ekipa pod mocnym wezwaniem, przywiozła dużą karuzelę, wykopała dół, osadziła ją i pojechała. Wieczorem Kicha, Ptaku i kilku innych zmyślnych przystąpili do dzieła. Rankiem nowe miejsce zabawy leżało bezużytecznie powalone na jedną stronę. Ludzie ze spółdzielni trzy razy podchodzili do montażu, a chłopaki trzy razy z rzędu powtarzali swoją operację. Czwartej próby nie było. Karuzela trafiła dwa podwórka dalej i stoi tam do dziś.

Kicha i Ptaku mieli jednak też inne piaskowe zainteresowania. Oni właściwie szukali, kopali po to, żeby coś znaleźć, obojętnie co, jakikolwiek relik, byleby pochodził z przeszłości. Młodzieńcza wyobraźnia podsuwała im marzenia o odkrywaniu nieznanego, o zakopanych głęboko skarbach, o skrzyniach wypełnionych złotem, o dzbanach pełnych bezcennych monet.

Mając po kilkanaście lat, chłopcy przenieśli się z kopaniem do lasu za osiedlem. Jednak to już nie było to, co przedtem! Teraz był pełen profesjonalizm. Ich zawodowstwo polegało w

SZCZEŚCIARZ

Po trzech tygodniach wspaniałej bez troski znowu wylądowałem w moim gabinecie na tym samym skórzanym fotelu, za dobrze znanym blatem dębowego biurka. Prawdę powiedziawszy, nie miałem najmniejszej ochoty poświęcać dzisiejszego dnia na pracę. Zatrudniam przecież, do ciężkiej cholery, cały sztab ludzi, więc skoro im płacę, mam prawo wymagać, żeby zajmowali się wszystkimi problemami. Wystarczy, jeśli skupię się na organizacji i od czasu do czasu podejmę jakąś decyzję.

Nawet nie zajrzałem do biura. Ludzie wiedzieli, że jestem, a ja nie miałem zamiaru patrzeć, jak na mój widok uskuteczniają improwizację. Zbyt dobrze znam życie i nie urodziłem się wczoraj. Wiem, jak wyglądają pewne sprawy.

Pani Mariola, szefowa całego biura i zaufana sekretarka w jednej osobie (prawdę powiedziawszy, mój najrzetelniejszy zastępca), zaparzyła mi kawę i przyniosła miesięczne sprawozdanie. Współpracując ze mną od kilkunastu lat, zdążyła mnie doskonale poznać. Choć nasze stosunki zawodowe są mniej zdystansowane, wciąż zwracamy się do siebie „pan”, „pani”. Czasami wydaje mi się, że ona wie o mnie wszystko, zna mnie lepiej niż ja sam.

- Chyba dziś będzie pan bardzo zajęty – powiedziała.
- Chyba tak – odparłem. – Proszę nie łączyć do mnie żadnych rozmów telefonicznych.
- Oczywiście – odparła. – To zrozumiałe.

Widziałem, jak szary zegar na ścianie odmierza upływające minuty. Z każdą chwilą miałem coraz silniejsze wrażenie, że to wszystko nie ma sensu. Może kiedyś, jakieś dwadzieścia lat temu, kiedy zaczynałem budować swoje imperium, ale teraz... Teraz dochodziłem do wniosku, że te wszystkie lata były niczym sprint. Usłyszałem wystrzał do startu i pomknąłem. Pogoń za lepszym jutrem, za wygodnym bytem. Fakt, udało się, ale pytanie – jakim kosztem? Dzisiaj jestem już pewien, że zbyt wiele straciłem jak na jedno życie. Co z tego, że mam pieniądze, świetnie prosperującą firmę, nowy samochód, duży dom, starą daczę na Mazurach? Z czego się tu cieszyć? Któregoś dnia i tak pójdę do piachu. Zawsze była tylko praca, praca, praca, raz na jakiś czas wakacje w ciepłych krajach. Wakacje? Co to za odpoczynek, kiedy człowiek cały czas myśli o interesach? Ile razy wychodziłem z żoną na spacer, ona chciała porozmawiać o byle czym, o życiu, o sztuce, o nowych meblach, a ja? Cóż... W głowie wiecznie plany, jak zainwestować, gdzie ulokować majątek, co kupić, jak ograniczyć koszty. I tak na okrągło. Ile wieczorów spędziłem, siedząc spokojnie przed telewizorem albo pod drzewem w ogródku? Bez przesady, ale jestem w stanie policzyć takie chwile na palcach dwóch rąk. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę chętny i gotowy do działania. Ile dni można wytrzymać w takim tempie? W końcu mnie złapało. Złe samopoczucie, ciśnienie, łomotanie serca i cały worek lekarstw. Najgorsze było to, że nie potrafiłem dać sobie na wstrzymanie.

Gdybym był rozsądny, gdybym pomyślał, że za żadne pieniądze nie kupię swojego zdrowia, pewnie bym zwolnił. Przecież nieraz słyszałem, że ten czy tamten wylądował w szpitalu. Pompa nie wytrzymała, stres, wrzody na żołądku albo jakieś inne świństwo. Wychodziłem z założenia, że kogo jak kogo, ale mnie to na pewno nie dotyczy. Sądziłem, że wszyscy, którzy pracują dla kogoś, to zwyczajni nieudacznicy, partacze bez

krzty fantazji. Myślałem o nich pogardliwie, ich potrzeby oceniałem jako minimalne. Czegoż im było trzeba? Kobiety, wódki i leniuchowania? Osiem godzin w pracy i do domu. Pasje, hobby? – to było dla mnie marnowanie czasu. Liczyło się tylko owocne działanie. Kasa. Wspinanie się na wyższe standardy życia, zaspokajanie materialnych potrzeb i przede wszystkim jakaś tam władza. Wokół takich tematów orbitowało moje dążenie do celu.

Dzisiaj, kiedy sięgam pamięcią wstecz, nie mogę sobie przypomnieć, jak dorastało dwóch moich chłopaków. Nie mówiąc już o tym, że tak naprawdę nic o nich nie wiem. Tatuś był dobry, zarabiał pieniądze i zamiast posiedzieć z synami, kupował im drogie zabawki, budując tym samym coraz większy mur. Nawet nie wiem, czym się interesowali. Dla mnie było oczywiste, że kiedy podrosną, przejmą firmę, a ja nareszcie sobie odpocznę. A tymczasem cóż? Obaj prowadzą życie na własny rachunek. Żaden z nich nawet nie myśli o prowadzeniu tego interesu. Jeden to niespełniony pisarz i dziennikarz, drugi kocha komputery. Obaj ani myślą zajmować się produkcją rolet i bram garażowych. Liczę jeszcze na to, że nie będę musiał sprzedać tego bałaganu. Być może któryś z synów okaże się na tyle sprytny, iż zdoła prowadzić firmę i zarazem robić to, co daje mu satysfakcję. Zobaczymy. Na kilka lat wystarczy mi sił. Naprawdę nie myślałem, że to tak się ułoży.

Kiedy byłem dzieciakiem, nie przykładałem się zbytnio do nauki. Zawsze znalazł się ktoś gorszy ode mnie i czepiałem się tej wymówki niczym skóra letniej opalenizny. Potrzebowałem dużo czasu, żeby zwrócić oczy ku lepszym. Ta banalna prawda okazała się tak oczywista. Rodzice nieraz powtarzali: „Nie patrz na gorszych, dogoń ambitnych”.

A któż z nas się tym przejmował? Dopiero z wiekiem człowiek rozumie, o co w tym wszystkim chodzi. Zacząłem więc